

Jagnię i podręcznik picia

Było kiedyś jagnię, które miało wokół siebie wielu nauczycieli.

Przychodzili do niego od świtu. Jedni z księgami, inni z gwizdkami, jeszcze inni z linijką, stoperem, podręcznikiem albo serdecznym głosem, który brzmiał jak troska, a był tylko łagodniejszą odmianą rozkazu. Każdy chciał mu pomóc. Każdy wiedział lepiej. Każdy widział, że świat jest trudny, pełen wilków, przepaści, chłodu, obcych łąk, zdradliwych strumieni i źle ułożonego siana. Więc siadali przy nim i zaczynali.

Jeden uczył je, jak pić wodę.

Drugi, jak stawiać kopytka na mokrej ziemi.

Trzeci tłumaczył, jak poprawnie kłaść się w sianie, by nie przemarznąć od spodu.

Czwarty mówił o tym, jak rozpoznawać cień jastrzębia, zanim cień spadnie.

Piąty poprawiał sposób, w jaki jagnię patrzy na trawę, bo podobno nie każda zieleń jest bezpieczna.

Szósty twierdził, że trzeba je nauczyć, jak być bardziej jagnięciem, bo dzisiejsze jagnięta nie umieją już być sobą.

I tylko jagnię nic z tego nie rozumiało.

Nie dlatego, że było głupie.

Przeciwnie.

Było zbyt blisko życia, żeby od razu uwierzyć, że trzeba mu objaśniać własny oddech.

Gdy podchodziło do strumienia, nie myślało:

jak poprawnie spożyć wodę zgodnie z najnowszymi zaleceniami owczych autorytetów.

Po prostu piło.

Gdy wieczorem kładło się w sianie, nie analizowało kąta ułożenia ciała.

Po prostu czuło, gdzie jeszcze jest ciepło po dniu, gdzie pachnie słońce, gdzie można wtulić bok w miękkość, która nie pyta o teorię snu.

Gdy słyszało wiatr, nie zastanawiało się, czy został właściwie zinterpretowany.

Po prostu wiedziało, czy niesie chłód, czy zapach matki, czy zbliżającą się burzę.

Ale świat dorosłych nie ufał tej prostocie.

Świat dorosłych nie wierzył, że coś może wiedzieć przez samo bycie.

Wierzył tylko w to, co nazwane, poprawione, przeciwiczone i przekazane z ust do ust przez tych, którzy nosili pieczęcie.

Dlatego jagnię rośło otoczone instrukcjami.

Mówiono mu:

nie pij za szybko, bo się zachłyśniesz.

Nie biegnij tak, bo się przewrócisz.

Nie patrz tam, bo nie wiadomo, co zobaczysz.

Nie leż tak, bo źle ci to zrobi.

Nie milcz tak długo, bo to podejrzone.

Nie becz za cicho, bo nikt cię nie usłyszy.

Nie becz za głośno, bo to przesada.

Nie idź samo, nie wracaj samo, nie śnij za mocno, nie czuj za bardzo, nie ufaj tej łące, nie ufaj tamtej chmurze, nie ufaj nawet sobie, dopóki ktoś większy nie potwierdzi, że dobrze stoisz.

I tak powoli wokół jagnięcia rośło coś dziwnego.

Nie róg.

Nie kopyto.

Tylko obca skóra.

Z początku była cienka jak mgła.

Potem gęstniała.

Aż któregoś dnia jagnię zorientowało się, że nosi na sobie futro, którego nigdy nie wybierało. Szorstkie, ciężkie, pachnące nocą, samotnością i ciągłym nasłuchiowaniem. Gdzieś po drodze tyle razy uczono je, jak nie dać się zranić, że nauczyło się nie tylko uważać, ale i warczeć. Nie tylko widzieć cień, ale być gotowym ugryźć cień, zanim ten w ogóle opadnie.

I wtedy wszyscy wokół odetchnęli z ulgą.

— No, teraz to co innego — mówili.

— Wreszcie silne.

— Wreszcie nie takie miękkie.

— Wreszcie gotowe na życie.

Nikt nie zauważył, że pod futrem nadal bije serce jagnięcia.

Biło cicho i coraz mniej wierzyło własnemu rytmowi.

Nie dlatego, że przestało być jagnięce.

Dlatego, że tyle razy mu tłumaczono, jak ma być sobą, iż zaczęło podejrzewać, że może wcale nie umie.

Aż pewnego dnia wydarzyło się coś bardzo małego.

Jagnię — już prawie niewidoczne pod tym futrem — odłączyło się od stada. Nie z buntu. Ze zmęczenia. Poszło kawałek dalej, tam, gdzie kończyły się instrukcje, bo nikt nie chciał zapuszczać się za stare kamienie. Za nimi nie było akademii. Nie było kursów poprawnego istnienia. Była tylko łąka, trochę siana i strumień, który nie znał żadnych zaleceń.

Jagnię stanęło nad wodą.

Nikt nie mówił mu, jak ma pić.

Nikt nie liczył do dziesięciu.

Nikt nie tłumaczył mechaniki przełykania.

Nikt nie ostrzegał, że źle ustawia szyję, źle rozkłada ciężar, źle ufa własnemu pragnieniu.

I wtedy stało się coś, o czym zapomniało.

Po prostu pochyliło łeb i napiło się.

Woda była chłodna, zwyczajna, prawdziwa. Nie miała komentarza. Nie miała certyfikatu. Nie miała pedagogiki. Po prostu weszła do środka i przypominała ciału to, co ono wiedziało od początku.

Potem jagnię położyło się w sianie.

Nie konsultowało tej decyzji.

Nie opisywało jej sobie.

Nie pytało, czy dobrze układa boki.

Położyło się i nagle poczuło, że siano nie jest teorią schronienia, tylko schronieniem.

Leżało długo.

I wtedy zrozumiało bez słów coś, czego nikt nie umiał mu nauczyć:

że nie potrzebowało instrukcji, jak być jagnięciem,
tylko ciszy, w której nikt nie przeszkadza jagnięciu być.

Od tego dnia zaczęło wracać nad strumień coraz częściej. Nie po wiedzę. Po przypomnienie. Nad wodą niczego mu nie tłumaczono. W sianie niczego od niego nie wymagano. Łąka nie ustawiała granic jego oddechu. Wiatr nie pytał, czy jest dostatecznie gotowe do życia. A jednak właśnie tam uczyło się najwięcej.

Nie z nauki.

Z prawdy.

Powoli futro utkane z instrukcji zaczęło z niego schodzić. Nie całe. Nigdy nie schodzi całe. Świat raz włożonego lęku nie oddaje tak łatwo. Ale już nie rządziło każdym ruchem. Jagnię coraz lepiej rozumiało, że takie futro było ochroną, a nie istotą. Był odpowiedzią na cudzy niepokój, a nie jego własnym imieniem.

I wtedy pierwszy raz zobaczyło innych.

Mnóstwo istot chodziło po łąkach w obcych skórach. Ptaki, którym tłumaczono latanie tak długo, aż zapomniały, po co mają skrzydła. Konie, które znały wszystkie komendy, ale nie umiały już biec. Psy, które pilnowały nie wiadomo czego, bo od dawna nikt nie powiedział im, czego naprawdę mają strzec. Ludzie, którzy dostali tyle instrukcji istnienia, że zgubili samo istnienie.

Niektórzy patrzyli na jagnię z niedowierzaniem.

— Jak ty możesz tak po prostu pić?

— Jak ty możesz tak po prostu leżeć?

— Jak ty wiesz, że dobrze czujesz?

— Kto ci to powiedział?

— Gdzie to przeczytałeś?

— Kto cię tego nauczył?

A jagnię nie umiało im odpowiedzieć.

Bo jak opowiedzieć wodę temu, kto całe życie dostał tylko podręcznik picia?

Jak opowiedzieć siano temu, kto zna wyłącznie teorię komfortu?

Jak opowiedzieć bycie temu, kto od dziecka słyszał wyłącznie, jak ma być?

Więc nie odpowiadało długo.

Piło.

Leżało.

Oddychało.

I może właśnie dlatego niektórzy zaczynali płakać.

Bo patrząc na nie, przypominali sobie coś bardzo starego. Że kiedyś też tak umieli. Że zanim przyszli nauczyciele z gwizdkami, księgami, wykresami i łagodnym terrorem troski, oni też pili, leżeli, czuli, śnili bez przewodnika. Że nie zawsze potrzebowali być poprawiani. Że nie wszystko, co żywe, wymaga instrukcji.

I może od tego wszystko zaczyna się naprawę.

Nie od tego, że człowiek nauczy się nowej wersji siebie.

Nie od tego, że dostanie lepszą interpretację.

Nie od tego, że ktoś mądrzejszy pokaże mu, jak ma być bardziej sobą.

Zaczyna się tam, gdzie ktoś przestaje tłumaczyć jagnięciu wodę i pozwala mu pić.